

Krzysztof Koziołek

Będę Cię
szukał
aż Cię
odnajdę



Ta miłość może zabić

Będę
Cię

Krzysztof Koziółek

Będę Cię
szukał
aż Cię
odnajdę

Redakcja i korekta
Daniel Lesiewicz

Pomysł okładki
Krzysztof Koziółek

Projekt okładki
Kamil Pietruczynik
www.kamilpietruczynik.pl

Na okładce wykorzystano fotografię
© Depositphotos.com/Drukarnia Chroma

Skład i łamanie
Manufaktura Tekstów

Copyright © by Krzysztof Koziółek 2016
Copyright © by Manufaktura Tekstów 2016

www.manufakturetekstow.pl

Oficjalna strona internetowa autora
www.krzysztofkoziolok.pl

Wydanie pierwsze
Nowa Sól 2016

ISBN 978-83-943231-2-7

Druk i oprawa
TOTEM - Inowrocław

*Dedykuję
Danielowi Lesiewiczowi*

Są takie chwile, w których człowiek przytuliłby się nawet do jeża.

Józef Bułatowicz

PROLOG

Pierwsze ukłucie bólu przemknęło przez głowę, gdy tylko oparł deskorolkę o betonowy wazon wypełniony kwitnącymi fioletowymi gladiolami, tak uwielbianymi przez mamę. Zignorował je, uśmiechnął się na samo wspomnienie wczorajszego dnia. Tym nieoczekiwanym prezentem zrobił jej wielką przyjemność.

Włożył dłoń do kieszeni, gdy wtem głowę przeszył już istny paroksyzm bólu. Momentalnie zamknął oczy, dotknął palcami skroni, próbując stłumić pulsujące rwanie, ale bez efektu. Zrobił głęboki wdech, po czym wypuścił powoli powietrze. Pomogło na tyle, że mógł otworzyć oczy bez obawy, że atak powróci.

Nagle, nie wiedzieć czemu, wbił spojrzenie w tafłę hartowanego szkła, z którego były wykonane drzwi wejściowe. Absurdalnie chciał zobaczyć, co znajduje się za nimi, chociaż doskonale wiedział, że matowa mgła uniemożliwia dostrzeżenie czegokolwiek poza mocnym światłem. Pełen złych przeczuć włożył klucz do zamka, przekręcił go, nacisnął owalną klamkę i już wtedy miał pewność, że stało się coś potwornego.

Kiedy wszedł do salonu i kątem oka dostrzegł rudawe włosy rozrzucone w nieładzie na kuchennej podłodze, zareagował w ułamku sekundy. Tempo, w jakim jego umysł i ciało przeszły w stan najwyższej gotowości, zawstydziłoby niejedyn superkomputer. Gdyby to był czas na przemyślenia, w tym jednym mgnieniu oka dotarłoby do niego, że tysiące godzin morderczych treningów chińskiej sztuki walki Sanda właśnie nabrały sensu. Hektolitry potu, setki przekleństw kierowanych pod adresem ojca i dziesiątki wykrzyczanych pytań „Po co się tak męczyć!?” w tej jednej chwili uratowa-

ły mu życie. Nie zrzuciwszy nawet plecaka, padł plackiem na ziemię w tym samym momencie, w którym z antresoli dobiegł cichy plask wystrzału. Miał wrażenie, że kula odbiła się od posadzki tuż obok niego i rykoszetem uderzyła w drzwi tarasowe. Te składały się z dwóch szklanych trójkątów podzielonych aluminiową ramą. Górną szybę natychmiast spowiła pajęczyna pęknięć.

Kiedy strzelec przesunął broń w jego kierunku, naciskając spust raz za razem, on miał już w ręku metalową paterę na owoce. Gdy pistolet z prędkością wylotową 260 m/s wypływał z siebie siódmy pocisk, śmiercionośny dysk zmierzał w kierunku twarzy mężczyzny. Nie zdążył nawet zarejestrować świstu srebrnego krążka, gdy ten zgruchotał mu zęby. To znacznie zmniejszyło siłę uderzenia, nie na tyle jednak, żeby nie poradzić sobie z delikatnym tworzywem tętnicy szczękowej.

Chłopak zignorował łoskot ciała staczającego się po schodach w dziwny, niezwykle majestatyczny sposób, zupełnie jakby to była teatralna inscenizacja próbująca wydobyć czwarte dno ze zwykłej rzeczy, a nie osiemdziesiąt kilogramów mięsa, z którego życie ulatywało bezpowrotnie.

Przywarł plecami do kuchennej szafki. Nie wiedział, gdzie znajduje się drugi napastnik. Intuicja podpowiadała mu, że ten, który wyłamał tralki ręcznie wykonanych schodów, nie był sam. Spojrzał w kierunku jadalni. Dopiero teraz dostrzegł to, co wcześniej umknęło uwadze: zza okazałej kaniapy wystawały czyjeś nogi. Może drugi włamywacz przykucnął tam, szykując się do ataku? Mózg pracujący na najwyższych obrotach momentalnie wykluczył to przypuszczenie. Noski były skierowane do góry, co oznaczało, że właściciel butów leży na wznak.

Kiedy spostrzegł charakterystyczny jasnobrązowy wzór, poczuł ścisk w gardle. To były ulubione buty taty, których

nie chciał wyrzucić, mimo że czasy świetności miały już lata świetlne za sobą. Znoszone do granic możliwości, na piętach przetarte tak mocno, że razem z mamą śmiali się wiele razy, iż niegdysiejsze obuwie wizytowe zmieniło się w sandały. Tata jednak nie zgadzał się na ich wyrzucenie i tyle.

Nastolatek spojrział na ciało mamy leżące tuż obok, tak blisko, że widział krople krwi zastygłe na prawym policzku. Poczul łyzy napływające do oczu. Gdyby wyciągnął rękę, mógłby ją dotknąć, objąć i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Tak zawsze robiła, kiedy miał gorszy dzień, pokłócił się z przyjacielem czy zawalił ważny sprawdzian. Od kilku lat coraz bardziej się tej bliskości wstydył. Choć wiedział, że sprawia jej tym ból, nie potrafił nad tym dystansem panować. Czuł, że pocieszała się, iż z biegiem czasu bunt minie i to było też pewnym pokrzepieniem dla niego samego.

W oczach miał coraz więcej łez. Próbował je otrzeć zaciśniętą pięścią, ale w miejsce jednych napływały kolejne. Wtem zdał sobie sprawę, że miałby problem, aby sobie przypomnieć, kiedy ostatnio pozwolił jej na matczyne przytulenie. A teraz oddałby wszystko za jeden uścisk, za jej jeden jedyny szeroki uśmiech.

– Sypialnia czysta. U góry nic nie ma!

Krzyk przerwał rozmyślenia. Dobiegał z piętra, ale że echo odbijało głos od ścian, nie był w stanie określić, czy drugi napastnik znajdował się już na antresoli, czy jeszcze w pokoju rodziców.

– Jak na dole? – głos był coraz bliżej.

Chłopak zamknął oczy na ułamek sekundy, próbując odtworzyć to, co przez ostatnie minuty wydarzyło się w salonie. Gdzieś w tyle głowy usłyszał siedem głuchych plaśnień. Wyjrzał zza kuchennej ściany w kierunku antresoli, potem zerknął na podłogę. Tuż przy schodach leżał pistolet Heckler and Koch, już na pierwszy rzut rozpoznał charakterystyczny uchwyt.

– Jak na dole się pytam!

Zmarszczył brwi, intensywnie myśląc. Uśmiechnął się delikatnie na wspomnienie godzin spędzonych z tatą w warsztacie, kiedy czyścili jego prywatną broń – dokładnie taki sam pistolet Heckler and Koch, co za zbieg okoliczności! – i oglądali setki zdjęć różnego rodzaju pistoletów i karabinów. Może nie było to dziwne hobby dla taksówkarza i byłego wojskowego, ale dla ucznia szkoły średniej już z pewnością.

– Broń! – myśl w głowie chłopaka była jak błyskawica. Tata trzymał ją w garażu, żeby się tam dostać i otworzyć szyfrowy zamek w sejfie ukrytym za ścianką z narzędziami, potrzebowałyby co najmniej minuty. Niewiele, sęk w tym, że drzwi wiodące do kotłowni i dalej do garażu od tygodnia skrzypiały niemiłosiernie.

Pozostawał pistolet napastnika. Pamiętał, że jego producent oferował dwie wersje, jedną z dziesięcioma nabojami, druga miała o dwa pociski mniej, tę miał właśnie tata. Z takiej odległości nie był w stanie ocenić, która leżała na podłodze, ale dla ostrożności musiał przyjąć, że do dyspozycji będzie miał tylko jeden strzał.

– Do kurwy nędzy! – głos dobiegający z piętra był coraz bliżej.

Nie namyślał się więcej, jednym susem znalazł się przy schodach. Podniósł pistolet, chwycił oburącz, tak jak szkolił go tata, uniósł w górę i przymierzył na sucho. Trzy sekundy później, w tym samym momencie, w którym ludzka sylwetka wychynęła zza ściany łazienki, wycelował w klatkę piersiową i pociągnął za spust. Zrobił to dwa razy, za drugim mierząc w głowę, ale tylko za pierwszym broń wypaliła.

Mężczyzna został trafiony na wysokości mostka. Siła uderzenia była tak wielka, że rzuciło go na ścianę pokoju chłopaka. Zaskoczony obrotem sytuacji, nawet nie zdążył wystrzelić,

zresztą nie mógłby tego zrobić, bo broń – siedemnastostrzałowy Glock – była schowana w kaburze.

Nastolatek ruszył pędem do kuchni. Przytknął palce do szyi mamy, nie wyczuł pulsu. Spojrzał na klatkę piersiową, dostrzegł dwie dziury po kulach. Przeniósł spojrzenie na głowę, na wysokości skroni była trzecia rana. – Albo pierwsza – przygryzł wargę. – Ta była śmiertelna, dwa kolejne strzały oddano dla pewności. Egzekucja...

Dwoma susami znalazł się przy kanapie. Ojciec otrzymał cztery kule, z tym, że ta pierwsza, najpewniej śmiertelna, trafiła w oko. Chłopak poczuł żółć podchodzącą do gardła, próbował powstrzymać odruch wymiotny, ale bez skutku.

Kiedy rękawem bluzy ocierał ubrudzone usta, usłyszał szelest. Wytężył słuch. Niemal niesłyszalny dźwięk dobiegał z piętra. Nagle zarejestrował ciche jęknięcie.

– Taki błąd! – chłopaka oblał zimny pot. A tata tyle razy wbijał mu do głowy, że w przypadku unieszkodliwienia napastnika pierwsze, co trzeba zrobić, to pozbawić go możliwości dalszego ataku. A on nawet nie sprawdził, w jakim stanie jest postrzelony mężczyzna i czy ma przy sobie broń!

– Na pewno ma – westchnął w myślach, podchodząc do zwłok. – Jeśli miał ten pierwszy, to drugi tym bardziej – myślał intensywnie, macając ciało na wysokości pleców.

Mężczyzna miał na sobie kamizelkę kuloodporną. Drugi pewnie też. Spojrzał w górę i w tym momencie ich wzrok się spotkał. W pierwszej chwili chłopak pomyślał, aby dobiec do wroga, lecz szybko z tego zrezygnował. Wymierzył w przeciwnika, ale w odpowiedzi zobaczył bezczelny uśmiech mężczyzny. Musiał usłyszeć charakterystyczny szcęk języczka spustowego i wiedział, że broń nastolatka jest nienaładowana.

Ten rzucił błyskawicznym spojrzeniem na zwłoki drugiego napastnika. Powinien mieć zapasowy magazynek. Odwrócił

głowę z powrotem, by skontrolować sytuację. Postrzelony mężczyzna sięgał już do kabury.

Chłopak miał dwie sekundy na reakcję. Wykorzystał je najlepiej, jak mógł: rzucił się w kierunku drzwi, chwycił za deskorolkę i gdy tylko znalazł się na ulicy Diamentowej, skoczył na nią, odbijając się drugą nogą.

Gdyby w tym momencie obrócił głowę, dostrzegłby mężczyznę wybiegającego przez drzwi i przyjmującego pozycję do strzału. Nie marnował jednak czasu i panicznie odbijał się nogą, chcąc uzyskać jak największą prędkość. Nie słyszał ani plaśnięć, ani gwizdu przemykających obok pocisków, za to po kilkunastu sekundach do jego uszu dobiegł ryk silnika.

Dopiero wtedy się obejrzał. Dwieście metrów za nim w ostry zakręt wchodziła właśnie jakaś terenówka. Do skrzyżowania z ulicą Nowojędrzychowską miał ponad 100 metrów. Zaczął jeszcze mocniej odbijać się nogą, co chwilę zmieniał lewą na prawą i odwrotnie, żeby do maksimum wykorzystać zapas sił. Nie oglądał się już za siebie, ale po dźwiękach domyślił się, że mężczyzna w ścigającej go terenówce zmienił bieg na wyższy i przyśpieszył. Kiedy wyjechał zza rozłożystego dębu, zobaczył autobus linii nr 44. To była jego szansa. Do przystanku miał 30 metrów, obejrzał się za siebie, auto było dobre 100 metrów z tyłu. Musiało się udać!

I udałooby się, gdyby chłopak skontrolował, co dzieje się po przeciwnej stronie ulicy Nowojędrzychowskiej. Wtedy zobaczyłby minivana nadjeżdżającego z prędkością większą niż dopuszczalna na tym odcinku „pięćdziesiątka” i miałby szansę wyhamować. Ponieważ tego nie zrobił, nie miał czasu na reakcję. Szczęście w nieszczęściu, że prowadząca auto kobieta była urodzona za kierownicą. Co prawda nie mogła odbić ani w prawo, bo uniemożliwiał to wysoki krawężnik, ani w lewo na przeciwległy pas, bo nim nadjeżdżał autobus,

ale przynajmniej zdążyła nacisnąć hamulec. Spod kół wydobyl się siwy dym, minivana lekko zarzuciło, ale zanim chłopak wpadł na maskę, prędkość z 70 km/h zmalała do niecałych 35. Podbiło go w górę, następnie głową uderzył w przednią szybę, po czym bezwładnie osunął się na asfalt.

Mężczyzna w terenówce tylko przez krótką chwilę zastanawiał się nad zatrzymaniem i wyjęciem broni. Kierowca autobusu włączył światła awaryjne i wyskoczył na zewnątrz pojazdu, aby pomóc kobiecie z minivana, która już klęczała przy chłopaku. To oznaczało zbyt wielu świadków. – Poza tym gówniarz pierdolnął z takim impetem, że musiał zginąć – uśmiechnął się sam do siebie. Skręcił w prawo w wąską uliczkę wiodącą do kilku posesji, poruszał się z przepisową prędkością.

Dojechawszy do tablicy oznaczającej koniec Zielonej Góry, sięgnął po telefon komórkowy.

– Tu Mesjasz – rzucił krótko do słuchawki. – Pilnie potrzebne sprzątanie w obiekcie... Uciekł... Jest dobrze, bo wpadł pod samochód... Jeżeli nawet jakimś cudem przeżył, to na bank jest solidnie połamany.

ROZDZIAŁ 1

Podniósł powieki powoli, nie bez wysiłku. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, był ścienny zegar.

– Nie działa – szorstki głos pojawił się znikąd.

Dopiero teraz dostrzegł młodego mężczyznę w niebieskim fartuchu stojącego u wezłowania łóżka.

– Za kwadrans dziewiąta. Niestety, jest już po kolacji. Ale to może i dobrze, bo w twoim stanie jedzenie nie jest wskazane. Możliwe, że dostaniesz lekkie śniadanie.

– Czy... – próbował mówić, ale skołowaciały język odmówił posłuszeństwa. – Wody.

– Proszę – lekarz podszedł do umywalki, napełnił plastikowy kubek wodą i podał chłopakowi. – Pij powoli.

Chciał wziąć go w lewą rękę, ale ta była dziwnie ciężka. Półprzutomnym wzrokiem powiódł w kierunku koca okrywającego go od pasa w dół. Musiał się chwilę przypatrzeć, zanim dostrzegł biel gipsu zlewającą się z kolorem poszwy.

– Złamana w dwóch miejscach – medyk pośpieszył z wyjaśnieniem. – Niegroźnie, szybko ją poskładaliśmy. Miałeś szczęście.

Prawa ręka była co prawda sprawna, ale chwyt nie był zbyt pewny. Zanim przystawił kubek do ust, połowę wylał na piżamę.

– Boli cię prawa ręka? – spytał lekarz z niepokojem w głosie.

– Nie.

– Na wszelki wypadek nie wykonuj gwałtownych ruchów głową.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

– Z powodu poważnego wstrząśnienia mózgu, mój drogi – cmoknął z niesmakiem tak wielkim, jak gdyby chłopak miał zamiar popełnić przestępstwo. – Więc nazywasz się: Cudny. Znaleźliśmy twoją legitymację szkolną – dodał wyjaśniająco. – Imię: Wespazjan... – tym razem cmoknięcie ewidentnie było ironiczne.

Cudny spiorunował go wzrokiem.

– Chciałem powiedzieć, że to niezwykle rzadkie imię jak na dzisiejsze czasy – tłumaczył nieudolnie. – Prawda? – pograżał się jeszcze bardziej.

Chłopak odwrócił wzrok, zacisnąwszy usta.

– Masz jakąś ksywę? – lekarz próbował ratować sytuację.

– Przyjaciele mówią na mnie Wally.

– Więc Wally...

– Po pierwsze, nie przypominam sobie, żebyśmy przeszli na ty. Po drugie, mówiłem o przyjaciółach.

– Twarda sztuka z ciebie – mrugnął znacząco. – Może być oficjalnie, ale wtedy będę się musiał do ciebie zwracać per panie Wespazjanie. Którą wersję mam wybrać, Wally? – przeciągnął ostatnie słowo.

– Czy ta rozmowa jest konieczna? – Cudny zmrużył oczy.

– Jeżeli chcesz jeszcze kiedyś używać tego narzędzia – lekarz postukał się palcem we własną głowę – to tak, jest konieczna. Miałeś poważny wypadek samochodowy. To właściwie cud, że nie zginąłeś.

– Nazwisko zobowiązuje – westchnął smutno.

– Nie wiem, do czego zobowiązuje cię nazwisko, ale zdrowy rozsądek powinien cię obligować do używania kasku podczas jazdy na desce. Szczególnie wtedy, kiedy zamiast bezpiecznego chodnika wybierasz ruchliwą drogę. A może ulica Nowojędrzychowska nie należy do takich?

– Nie miałem kasku? – zdziwienie Wally’ego wyglądało na prawdziwe. – Może spadł po uderzeniu?

– Jakby spadł, to znalazłaby go policja. A nie znalazła.

– Dziwne – Cudny się zamyslił.

– Co pamiętasz z momentu wypadku?

– Twarz tej kobiety. Jest bardzo podobna do mojej polonistki, tylko dużo ładniejsza. Ale od mojej polonistki wszystkie twarze są ładniejsze – zaśmiał się.

– A przed wypadkiem. Pamiętasz coś?

Cudny zmarszczył brwi.

– Nie pamiętasz? – spytał lekarz po dłuższej chwili.

– Pamiętam, że wróciłem z budy okrężną drogą, żeby dać rodzicom czas na przygotowanie przyjęcia niespodzianki. Zwykle we wtorki wracam koło 14.30, wczoraj ściemniłem, że mam coś do załatwienia na mieście, żeby starzy ze wszystkim się wyrobili. Pracowali nad tym przyjęciem od tygodnia, niby w tajemnicy, ale i tak o wszystkim wiedziałem –

uśmiechnął się szeroko. – Dzisiaj mam osiemnastkę – dodał wyjaśniająco.

– Gratuluję wejścia w popieprzone dorosłe życie... – zawałał się. – To była niepotrzebna osobista uwaga – machnął ręką w geście przeprosin. – Co było potem?

– Potem? – zdziwił się Wally. – Nie jestem pewien... Pamiętam tylko, jak wybiegłem z domu i złapałem za Niunię.

– Niunię?!

– Tak ma na imię moja deska. Deszczunia... – rozmarzył się. – Właśnie, co z nią? – zaniepokoił się.

– Pojęcia nie mam.

– Muszę wiedzieć! – Cudny złapał lekarza za przegub, ścisnął tak mocno, że ten aż jęknął.

– Ciężary podrzucasz na tej desce? – westchnął, oswobodziwszy rękę. – Przy tobie imadło to jak uchwyt noworodka – rozmasowywał bolące miejsce. – Jestem chirurgiem i muszę mieć sprawne ręce.

– Gdzie jest Niunia? – nie przejął się ani trochę problemami lekarza.

– Nie wiem i szczerze nie obchodzi mnie to – warknął w odpowiedzi. – Mogłeś mi pogruchotać kości. Jakbym wtedy operował?

– Nie wiem i gównie mnie to obchodzi – Cudny odciął się bezceremonialnie. – Pytałem o deskę.

– Może policjanci coś wiedzą.

– Policjanci?

– A niby kto? Chcieli cię przesłuchać jeszcze dzisiaj, ale ze względu na twój stan zdrowia nie wydałem zgody – lekarz machinalnie potarł przegub, który zaczął już oplatać siny warkocz. – I to był błąd.

*

– I to był, kurwa jego mać, błąd! – mężczyzna w roboczym, specjalnie pobrudzonym uniformie skręcił koła, blokując je

o krawężnik. Następnie wyłączył silnik, wrzucił wsteczny bieg i zaciągnął hamulec ręczny. Ulica Bursztynowa była krótka, ale za to nadrabiała przewyższeniem.

– Takie rzeczy się zdarzają – drugi z mężczyzn, dużo niższy, miał identyczny ubiór.

Logo na uniformach i furgonetce wskazywało, że reprezentują firmę zajmującą się pielęgnowaniem ogrodów, ale nie mieli nic wspólnego ze strzyżeniem trawników. Chyba że zakopywanie zwłok w leśnych ostępach i przykrywanie prowizorycznych mogił gałęziami można podciągnąć pod pielęgnację roślin.

– Powinni czekać na gówniarza, a nie łązić po domu – wyższy otworzył tylne drzwi, wszedł do środka i zaczął przesuwac dwie potężne walizki.

– Mieli znaleźć materiały...

– Gówno znaleźli! – sięgnął po gumową plandekę złożoną w kostkę. – Papierów nie ma, a smarkacz im zwiął.

– I jeszcze powiedz, że ty byś to zrobił lepiej – niższy chwycił walizki z taką lekkością, jakby ważyły po kilogramie.

– Lepiej to się bierzmy za robotę, zanim zjawi się jakiś nadgorliwy krawężnik – z kieszeni wyjął pęk kluczy i otworzył nimi drzwi wejściowe. – Widzisz chyba, że to osiedle bogaczy.

– Skoro tak, to każdy pilnuje tu swojego nosa – wniósł walizki, postawił je przy drzwiach i chwycił za plandekę, którą podał mu pierwszy mężczyzna. – Ogrodzenia albo mają po dwa i pół metra, albo zaraz za nimi rośnie busz. Myślisz, że ktoś widzi, co się tutaj dzieje? Albo że kogoś to obchodzi?

– Nie płacą mi za myślenie, tylko za robienie – wyższy zaczął rozwijać plandekę. – Od myślenia są inni. Chociaż patrząc na efekty ich pracy, gówno się na niej znają. Ja go zawinę, zajmij się krwią.

– Popatrz – wskazał palcem zbitą szybę w drzwiach tarasowych.

– O żesz, kurwa! – syknął wyższy. – Tego nie było w planach. Ile kul dostała babka?

– Trzy.

– Facet ma cztery dziurki. Razem siedem.

– Szyba jest ósma – zauważył niższy z podekscytowaniem takim, jakby co najmniej obliczał skomplikowany logarytm.

– Kurwa jego pierdolona mać! – zaklął siarczyście. – O jeden strzał za dużo. Trzeba wymienić szybę. Inaczej krawężniki się skapują, że coś jest nie tak.

– Chwila... – niższy intensywnie myślał. – Przecież chałupa wyleci w powietrze...

– To jest ściana nośna – pokazał palcem. – Nie wiadomo, jak się rozejdzie podmuch... Ja takiego ryzyka nie podejmę – sięgnął po telefon komórkowy, rozmawiał krótko. – Szybę trzeba wymienić.

– Wymienić?!

– Spokojnie, nie my będziemy się tym zajmować.

*

– Chciałbym wrócić do domu – rzekł Cudny, gdy lekarz stał już w drzwiach.

– Do domu? – medyk się odwrócił, patrząc z zaskoczeniem. – Doznałeś poważnego wstrząśnienia mózgu. Zostajesz tu na noc – wycedził kategorycznie. – Skontaktujemy się z twoimi rodzicami, może jeszcze zdążą cię odwiedzić przed ciszą nocną.

– Mogę chociaż dostać coś przeciwbólowego?

– A co cię boli?

– Głowa mi pęka – chłopak wymownie potarł palcami skroń.

– Ma prawo. Przekażę siostrze, żeby ci coś podała. Przyjdzie za chwilę.

Kiedy pięć minut później pielęgniarka weszła do sali, z wrażenia niemal upuściła tacę z tabletkami.

– A kto ci pozwolił wstać? – strofowała.

– Nikt mi nie zabraniał. A jak coś nie jest zabronione, to jest dozwolone...

– Mądrała się znalazł – pielęgniarka odkryła koc. – Marsz do łóżka!

– Co się stało? – w drzwiach pojawiła się twarz lekarza.

– A ty co robisz?

– Halo – Cudny wzruszył ramionami. – Nic mi nie jest. Łeb mnie tylko boli, ale już przechodzi.

– Godzinę temu leżał jak bez życia – lekarz wyglądał na autentycznie zdumionego. – Pięć minut temu głowa mu pękała. A teraz sobie spaceruje...
A teraz sobie spaceruje...
A teraz sobie spaceruje...

– I nie wygląda na takiego, co to się z samochodem całował – zauważyła pielęgniarka kąśliwie. – A może to symulant? – zwróciła się z pytaniem do lekarza.

– Nie – odparł kategorycznie medyk. – Sam pytał, czy może wrócić już do domu. Jakby symulował, to by próbował wymusić zwolnienie ze szkoły na dwa tygodnie.

– Naprawdę nic mi nie jest – wtrącił Cudny nieśmiało.

– Widzę – lekarz podszedł do chłopaka, podniósł długopis na wysokość jego wzroku. – Patrz na niego – polecił, wodząc nim w lewo i prawo. – Żrenice równe, wymiotów nie ma, drgawek też nie. Ani śladu wstrząśnienia mózgu – rzekł z niekłamanym podziwem. – Chłopie, masz niesamowitą zdolność regeneracji.

– Nawet łapa już mnie nie boli – na dowód Wally podniósł zagipsowaną rękę ponad głowę.

Lekarz patrzył na niego bez słowa.

– Sostro... – rzekł po chwili. – Siostra podała mu hydrokodon?

– Nie zdążyłam.

- A ile podano wcześniej?
- Jeszcze nic nie zdążyłam podać, doktorze... – zaczęła tłumaczyć. – Wypadł dren w szóstce...
- Chce siostra powiedzieć, że po zaopatrzeniu chłopak nie dostał nic na ból? – spojrzał na pielęgniarkę z niedowierzaniem. – Absolutnie nie pytam w kontekście wykonania polecenia – zastrzegł szybko. – Po prostu jestem zaskoczony, że wytrzymał... Powinien się więc z bólu, a on nic. Ja bym chyba nie dał rady...
- Ja nic nie podawałam. Marysia też nie, cały czas była w ósemce.
- Wally... – lekarz obrócił się, szukał wzrokiem nastolatka.
- Gdzie on się podział? – dwoma susami znalazł się na korytarzu.
- Muszę do toalety – powiedział Cudny, obracając się.
- Gdzie jest ubikacja? – spytał. – Chyba mogę się załatwić?
- dodał, widząc pytające spojrzenie pielęgniarki, która pojawiła się za lekarzem. – Poradzę sobie jedną ręką.
- Pielęgniarka bez słowa pokazała na koniec korytarza.
- Hydrokodon podawać? – spytała niepewnie.
- Nie ma takiej konieczności – odparł machinalnie lekarz, wbijając wzrok w chłopaka.

*

Po powrocie z toalety chłopak spytał pielęgniarkę o plecak. Okazało się, że ubranie i reszta rzeczy, które miał przy sobie, trafiły do depozytu. Kiedy poprosił o pozwolenie na zejście, w odpowiedzi usłyszał, że o tej porze depozyt jest już zamknięty. Po pięciu minutach przymilania się, wyblagał, żeby poszła tam sama. Przyniosła go wkrótce potem.

Zdrową ręką nieudolnie otworzył zamek, zaczął szperać w środku. Szybko znalazł to, czego szukał. Wybrał numer do mamy, ale telefon był wyłączony, podobnie zresztą jak ojca. Dopiero teraz spojrzał na zegarek: 23.35. – Pewnie

już poszli spać – uspokoił sam siebie w myślach, po czym napisał krótkiego esemesa: „Miałem niegroźny wypadek. Jestem w szpitalu, wszystko dobrze, ale zostawili mnie na noc na obserwację. Rano pojadę od razu do szkoły, bo mam ważny sprawdzian. Zobaczmy się na obiedzie”.

*

Kiedy Cudny wysyłał wiadomość do obojga rodziców (zwiększało to prawdopodobieństwo, że zostanie ona przeczytana), przed jego dom zajechała furgonetka bliźniaczo podobna do tej, którą przyjechała pierwsza ekipa sprzątaczy, jedyną różnicą było to, że reklamowała usługi szklarskie. Kierowca zaparkował pod latarnią, nieprzypadkowo, liczył, że taki manewr odwróci uwagę potencjalnych ciekawskich.

Z auta wysiedli dwaj mężczyźni. Zanim zdążyli otworzyć drzwi do komory ładunkowej, przy samochodzie, jak spod ziemi, wyrosły posiłki.

– Damy radę we czterech? – spytał wyższy.

– Poradzimy sobie sami – burknął kierowca szklanej furgonetki.

– Bierzemy w czwórkę – zawyrokował wyższy. – Jeszcze by nam brakowało, żeby się któryś z was z tą szybą wyjebał.

Miał rację, bo nie dość, że była duża i nieporęczna, to ważyła blisko 200 kilogramów. Musieli przejść zaledwie 50 metrów, ale zasapali się przy tym niemiłosiernie.

– My swoje już posprzątaaliśmy – rzekł wyższy. – Zabieramy go – skinął głową w kierunku ciała zawiniętego w plandekę i dodatkowo w chodnik, który wcześniej dekorował korytarz prowadzący do salonu.

– Już jedziecie? – spytał kierowca szklanej furgonetki.

– Posesje na tej ulicy są oddalone od siebie, ale lepiej nie ryzykować. A ogrodów o tej porze raczej się nie pielęgnuje, prawda? – wyższy odpowiedział pytaniem na pytanie. – Wy-

miana szyby to co innego, jakoś ujdzie. My spadamy, wy robicie swoje. Tylko niczego nie ruszajcie! – dodał nerwowo.

– Znamy się na robocie – rzekł kierowca urażony. – Spieprzajcie już, czas goni!

*

Kładąc się spać, Cudny próbował sobie przypomnieć, czy przyjęcie niespodzianka się udało, ale w głowie ziała nieprzebrana pustka. Po kilku minutach przymuszania się do odtworzenia harmonogramu dnia od wyjścia ze szkoły, dał sobie spokój. Niepokoiło go to, że ani mama, ani tata nie zjawili się w szpitalu, ale szybko znalazł wyjaśnienie: najwyraźniej wpał pod samochód w drodze do pubu na umówione wieczorne świętowanie z kilkoma kumplami z klasy i rodzice przyjęli, że dłużej zabalował.

Jutro podczas obiadu na pewno opowiedzą mu wszystko ze szczegółami. Chociaż, jak znał mamę, to po odebraniu esemesa, zjawi się pod szkołą albo nawet przyjedzie z samego rana do szpitala. Tak uspokojony zasnął kilka sekund po przyłożeniu głowy do poduszki.

*

– Idziemy? – kierowca furgonetki wsunął do kieszeni spodni ściereczkę, którą chwilę wcześniej skończył czyścić osadzoną szybę.

– Jeszcze moment – drugi z mężczyzn poszedł do kuchni, stawiając stopy tak, aby przypadkiem nie potrącić ciała kobiety. Podeszedł do kuchenki gazowej, ustawił alarm w piekarniku na 4.00. Następnie wszystkie kurki odkręcił do maksimum i zablokował je zapalkami. Dla zwiększenia efektu drzwiczki piekarnika otworzył na oścież. – Teraz możemy już iść – rzucił z zadowoleniem.

ROZDZIAŁ 2

Zerwał się z łóżka zlany potem tak mocno, że szpitalną koszulę można było wykręcać. Jak przez mgłę pamiętał koszmar, który mu się przyśnił. Widok ognistej łuny nad domem był jednak nad wyraz ostry, tak realny, jakby pożar był czymś rzeczywistym, a nie tylko senną marą. W uszach wciąż trzaśkały pękające od wysokiej temperatury lampki ogrodowe, które miesiąc wcześniej mozolnie montował razem z tatą. Zajęło im to cały dzień, wszystko przez uszkodzony kabel między dwoma ostatnimi punktami. Ale tak to jest, jak się go zakopało przed próbnym włączeniem oświetlenia.

Światło. Spojrzał na fluorescencyjne wskazówki zegara odcinające się od ciemnej ściany niczym latarnia morska w najmroczniejszą noc. Była 4.12. Nagle przypomniał sobie słowa lekarza o tym, że zegar jest zepsuty. Chwileczkę... Przecież pielęgniarka wymieniła baterie, kiedy poprosił ją o to tuż przed snem. Uśmiechnął się na wspomnienie jej uczynności. Wiedział, że przy pierwszym kontakcie oceniła go surowo, ale potem zdecydowanie zmiękła.

*

To, co śniło się Cudnemu, było niczym w porównaniu ze stanem faktycznym. Dokładnie o 4.00 nad ranem potężny wybuch wstrząsnął osiedlem Kamieni Szlachetnych. W promieniu 100 metrów wyleciały szyby w oknach. Jednak to było dopiero preludium piekła, które miało się rozegrać w spokojnej dotychczas okolicy. Przez ponad trzy godziny w domu nagromadziło się tyle gazu, że kiedy nastąpił wybuch, konstrukcja dachu podniosła się o dobrych kilkanaście centymetrów. Chwilę później drewniane belki stanęły w ogniu.

Po 10 minutach, gdy w oddali rozbrzmiały syreny pierwszych wozów straży pożarnej, płomienie strzelały w górę na kilkanaście metrów. Dom Cudnych, jak większość

przy ulicy Bursztynowej, był położony wśród drzew, głównie sosen i dębów. Także one zajęły się ogniem i istniało realne zagrożenie, że pożar rozprzestrzeni się na sąsiednie posesje, a być może i na pobliski las. W niebezpieczeństwie mógłby się również znaleźć kościół stojący na sąsiednim wzgórzu.

Dlatego dowódca akcji, gdy tylko przybył na miejsce, mentalnie wezwał posiłki. Po półgodzinie z ogniem szalejącym już na trzech posesjach walczyło osiem zastępów z komendy wojewódzkiej i okolicznych OSP. Opanowanie żywiołu zajęło im dwie godziny, a dogaszanie miało potrwać kolejnych kilka. Straty wstępnie wyliczono na blisko milion złotych, ale uratowane mienie miało wartość znacznie większą. Gdyby nie pełna poświęcenia praca strażaków, jak nic spłonęłoby pół osiedla.

*

Pielęgniarka, robiąc poranny obchód, ostatni przed końcem zmiany, zdziwiła się niepomnie, widząc Cudnego stojącego przy oknie i spoglądającego w dal. Jeszcze większe zaskoczenie stało się jej udziałem, gdy się odwrócił. Po zadrapaniach na twarzy nie było niemalże śladu i tylko delikatne zaróżowienia skóry pozwoliły namierzyć te miejsca, którymi tarł po szybie i masce minivana.

Kobieta pracowała w szpitalu od 21 lat i widziała już naprawdę wiele. Ale pierwszy raz była świadkiem tak szybkiego gojenia się ran. W pierwszym odruchu chciała nawet wezwać lekarza, by potwierdził jej przypuszczenia, ale wystarczyło spojrzeć na chłopaka.

– Jak się czujesz? – spytała pielęgniarka dla pewności.

– Świetnie – odrzekł Wally z uśmiechem wymalowanym na twarzy. – Śniadanie o której dają?

– O ósmej.

– Tak późno? – zmartwił się. – O tej porze to ja mam pierwszą lekcję.

– Lekcję? – w drzwiach pojawiła się postać lekarza. – Wally, ty się dokądś wybierasz?

– Do szkoły, panie doktorze – chłopak wyszczerzył zęby.

– Ja wiem, że na dzisiejszą młodzież to wy, dorośli, tylko narzekacie, ale proszę mi wierzyć, my dobrze wiemy, czego chcemy.

– To czego chcecie? – spytał medyk z autentycznym zainteresowaniem.

– Mieć kochającą rodzinę, ciekawą i dobrze płatną pracę, przytulny domek na przedmieściach i karnet na żużel lub koszykówkę.

– Mówisz, jak by ci ten tekst napisał jakiś spec od reklamy na portalach społecznościowych – lekarz mruknął z niezadowolaniem. – To wszystko chcesz osiągnąć tutaj, w Zielonej Górze, czy może już odkładasz na bilet lotniczy?

– Proponuję nie schodzić na tematy polityczne – Cudny odciął się błyskawicznie. – W tej chwili bardziej nurtuje mnie problem śniadania.

– Śniadanie będzie o ósmej, siostra zresztą już ci to powiedziała. Dzisiaj w planie jest parówka drobiowa.

– W planie to ja mam w tym czasie sprawdzian.

– Uważaj, Wally – lekarz pogroził palcem. – Nigdzie nie pójdziesz, zostajesz tutaj.

– Kiedy mi nic nie jest – zaprotestował. – Naprawdę!

– O tym decyduję tutaj ja, mój drogi.

– W takim razie wypisuję się na własną prośbę.

Lekarz zaoponował, poparła go pielęgniarka, ale Cudny był nieugięty. Godzinę później, przebrany w pobrudzony dres, podziękował obojgu za opiekę i ruszył w kierunku wyjścia głównego. Kiedy szedł szpitalnymi korytarzami, burczało mu w brzuchu tak mocno, że miał wrażenie, iż od tego odgłosu aż drżą ściany. Na szczęście przy przystanku autobusowym na Waryńskiego było kilka sklepów, w tym jeden spożywczy.

Dym zmieszany z parą wodną unosił się jeszcze nad głowami strażaków dogaszających pogorzelisko, gdy do akcji wkroczyli policyjni technicy. Już wstępne oględziny wystarczyły, by mieć pewność, że mają do czynienia z podwójnym morderstwem, zaś pożar wywołano dla zatarcia śladów. Co prawda zwęglone ciała dwóch osób były tak zniekształcone, że nie dawały do tego żadnych podstaw, ale za to pistolet leżący w kuchennym zlewie był aż nadto wymowny.

Na miejscu od godziny krążyło kilku lokalnych dziennikarzy. Po nudnym weekendzie, gorący w przenośni i dosłownie temat spadł im z nieba. Jak się miało wkrótce okazać, to był dopiero początek atrakcji. Wezwany przez policję prokurator był bowiem jednocześnie rzecznikiem prasowym. Nie namyślając się wiele, postanowił wykorzystać świetną okazję i naprędce zorganizował konferencję prasową. Stojąc na wprost kamer i mikrofonów, mając za plecami strażaków krzątających się jak w ukropie, oczami wyobraźni widział migawki w głównych serwisach informacyjnych. Kiedy wspomniał o podejrzeniu popełnienia podwójnego morderstwa i w oczach żurnalistów zobaczył ogniki jeszcze większe od tych, z którymi niedawno walczyli strażacy, wiedział już, że ten dzień medialnie będzie należał tylko do jednego człowieka: do niego samego.

Nie pomylił się ani o jotę. Od godziny 8.00 żadna relacja z miejsca zdarzenia serwowana przez liczące się stacje informacyjne nie pominęła jego wypowiedzi. Prokurator zapowiadający szybkie wykrycie sprawców, stojący przy tym na miejscu zbrodni, które nie zdążyło jeszcze dobrze ostygnąć, był zbyt łakomym kąskiem, aby telewizyjni wydawcy, spragnieni krwi niczym pijawki, nie wykorzystali okazji do maksimum.

ROZDZIAŁ 3

Przy ulicy Botanicznej mieściły się dwie szkoły budowlane: państwowe technikum oraz zakładowa zawodówka, uczniów tego pierwszego dla odmiany nazywano cyrklami. Budynek główny znajdował się kilkanaście metrów od ulicy, nieco osłonięty od ruchu samochodów wysokimi topolami, które jesienią produkowały tysiące opadłych liści. Szkoła była duża, uczyło się w niej kilkuset uczniów.

Obliczanie grubości stropu i rodzaju zbrojenia, jakiego trzeba użyć, aby konstrukcja wytrzymała nawet największe obciążanie, do łatwych nie należało, ale Cudnemu nigdy nie sprawiało to trudności. Wręcz przeciwnie, niemal połowę działań matematycznych, które koledzy i koleżanki wykonywali przy pomocy kalkulatorów, on przeprowadzał w pamięci. Pewnie dlatego wynik ostatniego obliczenia wpisał zaledwie po 27 minutach od początku sprawdzianu. Przeanalizował pracę raz jeszcze i już miał sięgnąć po plecak, gdy głowa zaczęła pulsować bólem. W normalnej sytuacji podejrzewałby, że zaraz stanie się coś ważnego, wyjątkowego, tym razem jednak musiał wziąć pod uwagę wczorajsze zderzenie z samochodową szybą i wstrząśnienie mózgu. Co prawda lekarz, który wymusił szybkie badanie przed wypisaniem się na własną prośbę, ocenił, że po urazie nie ma już śladu, fakt jednak pozostawał faktem i z tą opcją należało się poważnie liczyć.

Tym uspokojony złożył kartkę na pół. Położył plecak na kolanach, włożył rękę do środka, wymacał drożdżówkę i w tym samym momencie zmarł. Zanim ułamek sekundy później klamka drzwi wejściowych drgnęła, wiedział, że to nie była jednak kwestia urazu głowy.

Do klasy niezwykle dynamicznie wkroczył dyrektor Mieczysław Macer. Chociaż nie patrzył w jego stronę, tylko na nauczycielkę, Cudny wiedział, po kogo przyszedł.

– Dzień dobry młodzieży – dyrektor odkaszlnął nerwowo.
– Dzień... do... bry – odpowiedziała chórem klasa, przeciągając słowa niczym przedszkolaki.

Tylko on milczał, ze strachu nie mogąc przełknąć śliny.

– Cudny Wespazjan jest obecny? – dyrektor skierował to pytanie do nauczycielki.

Chłopak ścisnął drożdżówkę tak mocno, że zmieniła się w słodką papkę.

– Jest – rzekła nauczycielka po dłuższej chwili, nie doczekawszy się potwierdzenia samego zainteresowanego. – Wally, wstań.

Cudny powoli się podniósł.

– Pójdiesz ze mną – rzekł dyrektor tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Pani profesor, proszę podejść do mojego gabinetu od razu po dzwonku.

– Dobrze – powiedziała.

Dyrektor odwrócił się na pięcie. Wally ruszył za nim. Szli z drugiego piętra na parter w całkowitym milczeniu. Dwa czy trzy razy Cudnemu zdarzyło się mieć kontakt z dyrektorem i ten zawsze miał coś do powiedzenia, zwykle były to zdawkowe uwagi, ale były. Tym razem jednak nie wypowiedział ani słowa.

Minęli główne wejście, weszli w korytarz między salami a administracją, „tunel”, jak nazywała go młodzież, a to za sprawą niemalże egipskich ciemności spowijających to miejsce. Chłopak uśmiechnął się pod nosem na wspomnienie woźnego, którego cierpliwość nieustannie wystawiali na próbę, włączając lampy wiszące pod sufitem. Co je uruchomili, woźny przybiegał i je wyłączał. Gdy znikał w kantorku, ponownie włączali światło, czekając, aż przybiegnie raz jeszcze. Zabawy przy tym było co niemiara.

– Do mojego gabinetu – dyrektor otworzył drzwi i puścił Cudnego przodem.

Tam stało już dwóch mężczyzn.

– Komisarz Grzegorz Banaś, wydział kryminalny Komendy Miejskiej Policji w Zielonej Górze – jeden z mężczyzn, dużo szczuplejszy od drugiego, machnął czymś, co z daleka mogło wyglądać na policyjną legitymację. – A to jest podkomisarz Michał Witkowski.

Drugi policjant wykonał minimalny ruch głową. W tym czasie dyrektor zamknął drzwi i usiadł w fotelu.

– Z podkomisarzem Witkowskim rozumiemy się bez słów, tak więc ja będę mówił, a ty się módl, żeby podkomisarz Witkowski nie poczuł się w obowiązku odezwać. Bo jak poczuje się w obowiązku, to będzie znaczyło, że marny twój los – Banaś zrobił pauzę dla spotęgowania efektu. – Siadaj, chłopcze – pokazał ręką na krzesło stojące przy dyrektorskim biurku.

Cudny zajął miejsce. Chciał położyć plecak na kolanach, ale wówczas przypomniało mu się o drożdżówce. Wyjął woreczek z bezkształtną masą i trzymał go w ręku, nie wiedząc, co z nim zrobić.

– Tak na marginesie: wszystkiego najlepszego w dniu urodzin – rzekł nagle Banaś.

– Dziękuję, ale urodziny miałem wczoraj – odpowiedział machinalnie nastolatek.

– To ja wiem – spokój w głosie komisarza miał w sobie niemal coś mistycznego.

– Zostałem wezwany do gabinetu pana dyrektora w trakcie ważnego sprawdzianu z konstrukcji budowlanych tylko dlatego, żebyście panowie złożyli mi życzenia? – Wally wypalił niby na bezczelnego, ale bystry obserwator wyczułby niepokój w głosie.

A zarówno Banaś, jak i Witkowski należeli do tego typu widzów. Między innymi dlatego byli jednym z najlepszych zespołów pracujących przy zabójstwach.

– Nie łatwiej byłoby je wysłać pocztą? – grał dalej Cudny.

– Wespazjanie, zmień swoje zachowanie – wtrącił dyrektor. – Z tego, co panowie zdążyli mi powiedzieć, sprawa, która ciebie dotyczy, jest bardzo poważna.

– Panie dyrektorze – Banaś wykonał ruch ręką jednoznacznie wskazujący, kto ma mówić, a kto nie – pan pozwoli, że razem z podkomisarzem Witkowskim zapracujemy na nasze policyjne emerytury... Mówisz, że urodziny miałeś wczoraj. To skoro już nas wzięło na wspominki, powiedz mi, chłopcze, co robiłeś... Powiedzmy tak od godziny piętnastej.

– Po szkole poszedłem na miasto, pojeździć na skateboardzie... – Wally zaczął opowiadać.

– Na tej? – Banaś kiwnął głową w stronę Witkowskiego, ten zza pleców wyjął deskorolkę ozdobioną w niezwykle barwny wzór.

– Niunia! – ucieszył się Cudny, wyciągając rękę w stronę swojej własności.

– Nie dotykaj – warknął Banaś. – To jest dowód rzeczowy.

– Dowód rzeczowy czego? – zdziwił się Wally.

– Wszystko w swoim czasie – uciął policjant i skierował spojrzenie na biurko. – Panie dyrektorze, dalszą część rozmowy chcielibyśmy odbyć na osobności.

– Nie mogłem dodzwonić się do rodziców Wespazjana, dlatego będę pełnić rolę jego opiekuna – rzekł twardo dyrektor.

– Pański uczeń jest już osobą pełnoletnią i jako taka może odpowiadać na nasze pytania bez obecności opiekunów. Na przykład rodziców – komisarz spojrział badawczo na Cudnego. – Zajmie nam to tylko chwilę.

Policjanci poczekali, aż dyrektor zamknie za sobą drzwi.

– Bardzo mnie męczą długie rozmowy, a podkomisarza Witkowskiego jeszcze bardziej – Banaś pochylił się nad chłopakiem w taki sposób, że mówił wprost do jego prawego ucha.

– Tak więc proponuję, żebyś wybrał opcję błyskawiczną.

– Proszę pana, ja naprawdę nie rozumiem, o co chodzi – Cudny, pozbawiony psychicznego wsparcia wynikającego z obecności dyrektora, zmienił front o 180 stopni.

Banaś spojrzał kontrolnie na Witkowskiego, widząc jego milczącą aprobatę, kontynuował:

– Dyrektor nie mógł się dodzwonić do twoich rodziców. Podkomisarz Witkowski też próbował i także bezskutecznie – skłamał. – A ty...

– A ja wczoraj wieczorem również nie mogłem się z nimi skontaktować – Cudny wszedł mu w słowo. – Nawet nie wiem, czy esemesy, które wysłałem, dotarły. Dziwne – zmarszczył brwi. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że mama nie odwiedziła go rano w szpitalu, pod szkołą też jej nie było.

– Dziwne – potwierdził Banaś. – A dlaczego próbowałeś do nich wczoraj wieczorem dzwonić? – zanęcił.

– Bo miałem wypadek na tej desce – Wally pokazał palcem na podkomisarza Witkowskiego bawiącego się deskorolką. – Potrącił mnie samochód i trafiłem do szpitala.

– A o której to było? Tak mniej więcej chociaż... – dociekał komisarz.

– Gdzieś koło 17.00 – odrzekł chłopak.

– Koło 17.00 powiadasz... – funkcjonariusz się zamyślił.
– To by się nawet zgadzało.

– Zgadzało z czym? – zaciekawiał się Cudny.

– Z tym, że jeden z sąsiadów widział cię właśnie około 17.00, jak w pośpiechu uciekałeś z domu – wyjaśnił komisarz.

– Uciekałem – powtórzył szeptem chłopak. – Uciekałem...

To były stwierdzenia, nie pytania i ten fakt mocno policjantów zaintrygował. Banaś był jednak zbyt doświadczonym oficerem, aby chłopakowi przerywać.

– Uciekałem – Wally mówił jeszcze ciszej. Zamknął na chwilę oczy i w tym momencie pojawił się obraz ruda-

wych włosów rozrzuconych w nieładzie na kuchennej podłodze. – Proszę pana, coś się stało z moimi rodzicami, prawda? – wbił spojrzenie w komisarza, jednocześnie błagając w myślach Boga, aby obraz, który przed chwilą zobaczył, był tylko wytworem wyobraźni.

– Pytasz, czy coś się stało z twoimi rodzicami? – Banaś przeprowadził już setki podobnych rozmów i trudno było go zaskoczyć, teraz jednak był zszokowany.

– Chłopak zasługuje na Oskara – podkomisarz Witkowski powiedział to spokojnie, cichym głosem, jednak efekt był piorunujący.

– Wstań – polecił drugi z policjantów po chwili wahania.

– Plecak daj podkomisarzowi Witkowskiemu.

Wally wykonał oba polecenia, po czym wycedził:

– Co się stało z moimi rodzicami?

– Wespazjanie Cudny – Banaś zaczął recytować urzędową formułkę. – W dniu dzisiejszym zostaje pan zatrzymany do dyspozycji prokuratora w związku z podejrzeniem popełnienia morderstwa Joanny i Macieja Cudnych...

– Co się stało z moimi rodzicami?! – chłopak podniósł głos.

– Załóż gówniarzowi obrączki – komisarz wydał polecenie koledze. – Kurwa, na gips nie założymy.

– Co się stało z moimi rodzicami?! – Cudny krzyczał.

– Załóż się, że na rękach masz jeszcze ślady prochu, co, mistrzu? – wypalił Witkowski.

Wally zamarł. Przed oczami pojawił się mężczyzna. Potem usłyszał wystrzał z pistoletu Heckler and Koch, takiego samego, jakiego używał tata. I na koniec ten suchy strzał iglicy przy drugim naciśnięciu spustu.

– Muszę zacząć obstawiać wyścigi – Banaś pogratulował sobie w duchu trafnego przypuszczenia.

– Niech mi pan powie, co się stało z moimi rodzicami – Cudny wypowiedział to cicho, niemal niesłyszalnie.

– Zastrześliłeś swoją matkę i ojca i jeszcze masz czelność pytać, co im się stało?! – tym razem krzyczał komisarz. – Jeśli liczysz na to, że odstawią cię do wariatkowa, to się grubo mylisz!

– Nie żyją? – chłopak wytrzeszczył oczy ze zdumienia. – Mama?... Tata?... – łączywie nabierał powietrza. – Więc to jednak nie był sen... – szepnął.

– Nie – Banaś zrozumiał to opatrnie. – To nie był sen. Idziemy.

Cudny nie zdążył jednak postawić nawet kroku, stracił świadomość. Gdyby podkomisarz Witkowski nie był zajęty trzymaniem deskorolki, być może zdążyłby podtrzymać padające ciało chłopaka i uchronić je przed osunięciem się na dyrektorskie biurko. Ponieważ jednak miał w zwyczaju pilnować dowodów rzeczowych jak własnego oka, nie miał szansy na sprawną reakcję.

Mimo że obaj policjanci nie odczuwali śladu sympatii do nastolatka, na głuchy dźwięk uderzenia głową w kant blatu aż się wzdrygnęli.

– Proszę natychmiast wezwać pogotowie ratunkowe – Banaś zareagował błyskawicznie, otwierając drzwi do sekretariatu. W tym czasie Witkowski klęczał już przy Cudnym i sprawdzał puls.

ROZDZIAŁ 4

Kiedy karetka przyjechała, Cudny siedział już na krześle i szlochał. Policjanci wprowadzili ratowników medycznych w temat, sami stanęli w drzwiach do sekretariatu na wypadek, gdyby chłopakowi przyszła do głowy próba ucieczki.

– Co za skurwiel – Witkowski tak się rozgadał, że wyrabiał normę na kilka tygodni naprzód. – Z zimną krwią

zajebał staruszków, wysadził w powietrze chałupę, mało brakowało, a rozpiardoliłby pół osiedla i takie cyrki odstawia!

– Gra na psychicznego – ocenił chłodno Banaś. – Bystry jest i pewnie wydaje mu się, że wie, co trzeba zrobić. Ale jedno trzeba mu przyznać.

Norma była już jednak wyrobiona, więc Witkowski tylko podniósł lewą brew.

– Ma chłopak aktorski talent – komisarz kontynuował myśl. – Tyle robię w trupach, ale takiej gry to jeszcze nie widziałem. Jakbym nie zobaczył, to bym nie uwierzył, że można zemdleć na zamówienie. A ty jak sądzisz?

Witkowski nagle postanowił oszczędzać na środkach ekspresji słownej, bo tylko potaknął.

– I jak, panowie? – rzekł Banaś w stronę ratowników medycznych. – Możemy go zwijać?

– Uderzył głową w biurko – jeden z ratowników pokiwał przecząco – a wczoraj doznał wstrząśnienia mózgu. Musimy go zabrać na badania.

– W takim razie pan podkomisarz pojedzie z wami – rzucił twardo Banaś. – Spotkamy się na miejscu.

*

Dyrektor Macer, dowiedziawszy się o wypadku, wpadł do gabinetu jak przeciąg. Nie zdążył jednak nic powiedzieć, usadziło go groźne spojrzenie komisarza Banasia.

– Jadę na komendę, więc będę się streszczał – rzucił chłodno policjant. – Dobra informacja jest taka, że chłopakowi nic poważnego się nie stało. Do wesela się zagoi – chciał zażartować, ale wyszło marnie. – Znaczący, nie do jego wesela, bo on wesela raczej mieć nie będzie.

Dyrektor spojrział pytająco.

– Pański uczeń został zatrzymany – powiedział Banaś.
– Wczoraj, najprawdopodobniej po południu, jego rodzice

zostali zamordowani, a w nocy wysadzono w powietrze dom. Wszystko wskazuje na celowe podpalenie.

– Wespazjan o tym wie? – spytał dyrektor.

– Wie.

– To musi skorzystać z opieki psychologa – zauważył Macer. – Przy takiej traumie...

– O prawie do skorzystania z opieki jakiegokolwiek specjalisty będzie decydował prorok – rzekł komisarz.

– Słucham?

– Prokurator – wyjaśnił szybko Banaś. – Przepraszam, to nasze wewnętrzne nazewnictwo.

– Ale dlaczego Cudny został zatrzymany? – pytał dalej Macer. – Ma jakiś związek z tą potworną zbrodnią?

– Nie mogę panu udzielić odpowiedzi na to pytanie, proszę wybaczyć – komisarz rozłożył ręce w geście bezradności. – Od siebie dodam tylko tyle, że niewinne osoby zwykle nie są zatrzymywane do dyspozycji prokuratora.

– Czyli podejrzewacie chłopaka... – aż usiadł z wrażenia na krześle. – Dobry Boże. Jakby miał mało tragedii w życiu.

– Na mnie czas – Banaś naprawdę musiał się śpieszyć, bo nie podjął wątku.

– Nie wierzę... – szepnął Macer, gdy policjant zniknął już za drzwiami. – On nie mógłby zrobić czegoś tak potwornego...

*

Badania w szpitalu przebiegły szybko i tuż po 12.00 policyjny radiowóz zaparkował na ulicy Partyzantów przy komendzie. Podkomisarz Witkowski zaprowadził Cudnego do pomieszczenia pełnego specjalistycznego sprzętu, tam technik palce i grzbiety obu dłoni chłopaka pokrył ciepłą parafiną, która miała potem posłużyć do badania śladu gazów wylotowych. Następnie pobrał odciski palców.

Po załatwieniu formalności Cudny trafił do pokoju przesłuchań. Podkomisarz posadził go na krześle, zdrową rękę

przykuł do nogi stolika, a sam przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia i stanął przed specjalną szybą. Po krótkiej chwili namysłu zbliżył się do panelu sterowania klimatyzacją w pokoju przesłuchań i przekręcił gałkę do oporu w lewo. Zaledwie po 10 minutach czekania uśmiechnął się z satysfakcją, widząc, jak Cudny zaczyna przebierać nogami, by się rozgrzać.

*

Po kolejnym kwadransie w drzwiach pojawiła się twarz komisarza Banasia.

– Robimy go – rzucił do Witkowskiego.

Policjanci weszli do pokoju przesłuchań, Banaś – któremu jak zwykle przypadła rola dobrego gliny – postawił na stole kubek z parującą kawą i odpiął kajdanki.

– Pij – rzucił Banaś miłym głosem.

– Nie lubię kawy – odparł Cudny. – Czy mógłbym dostać gorącej herbaty?

– Nie – odburknął Witkowski. – Dostałeś kawę, to ją żłop. I ciesz się, bo to może być twoja ostatnia dobra kawa w życiu.

Twarz chłopaka wykrzywiła się żałością.

– Tak, tak. W życiu – kontynuował policjant. – Za podwójne morderstwo grozi ci dożywocie bez prawa do przedterminowego zwolnienia.

– Kiedy ja naprawdę ich nie zabiłem – Wally nie potrafił zebrać myśli.

– Przeciętny mężczyzna żyje w Polsce coś koło 68 lat. Ty skończyłeś osiemnastkę, więc... – podkomisarz udawał, że liczy. – Pięćdziesiąt lat. Ja pierdolę, spędzisz za kratkami pół wieku!

Cudny się rozplakał.

– Trochę za późno na łzy – Witkowski przysiadł na stole.

– Trzeba było o tym myśleć, zanim sięgnąłeś po broń.

- Ja... ich... nie... zabiłem... – Wally łkał.
- Już dobrze, zostaw go w spokoju – Banaś wkroczył na scenę. – Jeśli nam wszystko dokładnie opowiesz i będziesz współpracował, to prokurator na pewno weźmie to pod uwagę.
- Nie zabiłem rodziców – szepnął chłopak. – Musicie mi panowie uwierzyć!
- Opowiesz nam, jak było? – funkcjonariusz zadał to pytanie z niezwykłym spokojem.
- Muszę się napić herbaty – Cudny odzyskał zdolność trzeźwego myślenia. – Jestem głodny.
- Banaś kiwnął na Witkowskiego. Ten obrócił się na pięcie i dopiero, gdy stanął tyłem do chłopaka, pozwolił sobie na uśmiech triumfu.

*

Dyrektor Macer od godziny siedział w fotelu, schowawszy głowę w ramionach. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało albo raczej w to, co mówili policjanci, że się stało. Fakt, że uczeń budowlanki miał zastrzelić swoich rodziców, a potem dla zatarcia śladów podpalić własny dom, wymykał się jego percepcji. Zastanawiał się, w jaki sposób przekazać pozostałym uczniom i gronu pedagogicznemu tak makabryczną nowinę, bo że czekało go to trudne zadanie, nie miał cienia wątpliwości. Kwestią czasu było rozejście się plotek po szkole. Myślał nad tym intensywnie, ale mimo bogatego doświadczenia wychowawczego, nie mógł wpaść na żadne dobre rozwiązanie.

Z odrętwienia wyrwał go dźwięk telefonu. Wyjął komórkę z kieszeni marynarki wiszącej na oparciu fotela, spojrział na wyświetlacz. Nie rozpoznał numeru, nie miał ochoty na rozmowę z kimś nieznanym, więc odrzucił połączenie. Już miał wyłączyć aparat, kiedy uświadomił sobie, że włączona jest funkcja dyktafonu. To oznaczało, iż urządzenie mogło nagrać policjantów zostawionych sam na sam z Wespazjanem Cudnym!

W miarę, jak odsłuchiwał nagranie, konsternacja ustępowała miejsca irytacji. W swojej bogatej karierze pedagoga miał do czynienia z tysiącami uczniów o przeróżnych charakterach i osobowościach. Nie do wszystkich potrafił dotrzeć jako nauczyciel, wychowawca i dyrektor, nie każdego potrafił zrozumieć, ale jedną umiejętność przez te lata nabył: kłamstwo wyczuwał na kilometr.

Odsłuchał nagranie ponownie, a potem jeszcze jeden raz. Kiedy skończył, miał już stuprocentową pewność: Wespazjan Cudny mówił prawdę, twierdząc, że to nie on zastrzelił rodziców.

Dyrektor Macer westchnął głęboko, zdawszy sobie sprawę, że być może jest i będzie jedyną osobą, która uwierzy w wersję podawaną przez chłopaka. To znaczyło, że spoczywa na nim ogromna odpowiedzialność, bo tylko on mógł mu pomóc. Ale jak miał to zrobić?

Zaczął masować kark, licząc, że uspokojenie i relaks pomogą w znalezieniu rozwiązania. Poskutkowało, bo po chwili wiedział już, do kogo zwrócić się o radę. Sięgnął po telefon komórkowy, wybrał numer Sary Bednarz.

*

Wally zaczął opowiadać, zanim jeszcze podkomisarz Witkowski przyniósł herbatę. Po coś do jedzenia posłał kolegę z wydziału, bo sam chciał wysłuchać chłopaka. Obaj policjanci mieli już za sobą setki takich rozmów, jeśli nie tysiące, ale tak niesamowitej opowieści jeszcze nie słyszeli. Żelazna zasada głosiła, aby podejrzanemu w miarę możliwości nie przerywać, przynajmniej dopóty, dopóki mówi w miarę składnie, żeby nie wytrącać go z toku myślowego. Każde pytanie, każda chwila zastanowienia dawała bowiem możliwość kluczenia.

Obaj tę zasadę znali, ale tym razem obu z trudem przychodziło się do niej stosować. Już na samym początku,

gdy Cudny wspomniał o rzucie paterą, Witkowski zerwał się jak oparzony i tylko ostre spojrzenie Banasia zapobiegło słownej interwencji podkomisarza. Chwilę później, gdy chłopak opowiadał o postrzeleniu mężczyzny w kamizelce kuloodpornej, komisarz sam prawie nie wytrzymał. W końcu, na wieść o cudownym zmartwychwstaniu drugiego napastnika i ucieczce na deskorolce, policjantom puściły nerwy.

– Zmyślasz, chłopcze! – warknął Banaś. – Przyjmijmy, że do pewnego momentu mówiłeś prawdę. Oczywiście kłamiesz, ale na chwilę się umówmy, że ci wierzymy – gestem ręki uciął chęć protestu podkomisarza. – Zdajesz sobie sprawę, że postrzał z takiej broni to jak kopnięcie konia? Facet musiałby mieć połamaną połowę żeber i trudności z oddychaniem...

– Otrzymał pan kiedyś postrzał? – Wally wszedł mu bezceremonialnie w słowo.

– Co to ma do rzeczy?

– Niech pan odpowie na moje pytanie – naciskał Cudny.

– Byłem ranny – rzekł dumnie komisarz. – Dwa razy!

– W nogę? Rękę? Klatkę piersiową? – chłopak strzelał pytaniami jak serią z karabinu maszynowego.

– Raz w udo, za drugim razem w klatkę piersiową. Kula przeszła powyżej płuca.

– I co pan wtedy zrobił?

– Kiedy? – Banaś udawał głupiego.

– Jak pana postrzelili za drugim razem – wytłumaczył Wally.

– Zastrzeliłem tego sukinsyna, który mnie ranił – policjant wiedział, dokąd chłopak zmierza, ale nie potrafił skłamać.

– Mimo poważnego postrzału nie dość, że nie miał pan trudności z oddychaniem, nie dość, że utrzymał pan w rękach swoją broń, to jeszcze pan jej użył – Cudny triumfował.

– Przy odpowiedniej porcji adrenaliny człowiek jest w stanie iść nawet ze złamaną nogą.

– Masz dar, chłopcze – Witkowski postanowił włączyć się do rozmowy, teatralnie przy tym szeroko ziewnął. – Przeczytałem wszystkie książki Sienkiewicza, ale facet nie miał nawet w połowie tak bogatej wyobraźni jak ty.

– Sienkiewicza? – Wally zmarszczył brwi tak mocno, że zlały się w jedną.

– Henryk Sienkiewicz. Polski pisarz. Noblista – wyliczał podkomisarz. – Mówi ci to coś?

– A co on ma z tym wspólnego? – brew cały czas była tylko jedna.

– Kurwa! – Witkowski uderzył otwartą dłońią w blat stołu. – Ja już nie wytrzymam! Trzymaj mnie, bo mu zaraz przypierdolę!!!

– Spokój! – syknął Banaś. – Gównu mnie obchodzą twoje literackie zainteresowania. Za to ogromnie jestem ciekawy, dlaczego nie opowiedziałeś nam tego wszystkiego u dyrektora? – zmienił nagle temat.

– Bo wtedy tego jeszcze nie pamiętałem – odparł Cudny bez chwili zastanowienia.

– Nie pamiętałeś?! – komisarz nie dowierzał.

– Przypomniało mi się dopiero, jak pan powiedział, że rodzice nie żyją – chłopak potarł dłońią oczy, w których nagle pojawiły się łzy.

– Tak ci się nagle przypomniało? Mamy ci uwierzyć na słowo? – ironizował Banaś.

– Kiedy ja naprawdę wcześniej nie pamiętałem, co się stało. Przysięgam! – Wally się skulił. – Jak się obudziłem w szpitalu, to niczego nie pamiętałem, poza tym, że przyszedłem do domu później niż zwykle. Wtedy to się musiało stać. Oni wiedzieli, że mnie nie będzie! – nawet nie podejrzewał, w jakim jest błędzie.

- Jacy oni? – podłapał szybko Banaś.
- Nie wiem, jacy – chłopak westchnął. – Ten, który leżał w przedpokoju, był cały we krwi, nie przyjrzałem się jego twarzy.
- Leżał w przedpokoju? – pytał dalej komisarz.
- Przecież już panom mówiłem, że wyłamał poręcz i wylądował na podłodze – Wally ukrył głowę w dłoniach.
- Mówiłeś – przyznał Banaś. – Sęk w tym, że nie zdążyliśmy ci powiedzieć, że w przedpokoju nie znaleziono żadnych zwłok.
- Ale ja już mówiłem... – nastolatek przerwał w połowie zdania. – Co pan powiedział?
- W przedpokoju nie było żadnych zwłok – komisarz bacznie wpatrywał się w twarz chłopaka. – Nie tylko zresztą w przedpokoju, ale w całym domu, a raczej w tym, co z niego zostało. Jedyne zwłoki należały do twoich rodziców.
- Ale... Przecież ja mu prawie odciąłem głowę... – Cudny był oszołomiony.
- Kto był na przyjęciu oprócz twoich rodziców? – Witkowski kolejny raz zastosował jedną z podstawowych technik przesłuchania, czyli błyskawiczną zmianę tematu.
- Słucham? – chłopak dał się zaskoczyć.
- Mówiłeś, że rodzice przyszykowali dla ciebie przyjęcie niespodziankę – wyjaśnił cierpliwie podkomisarz. – Interesuje nas, kto oprócz nich tam był i mógłby potwierdzić twoją wersję?
- Nikt – Cudny spuścił głowę. – To miała być kameralna, rodzinna uroczystość. Prawdziwe przyjęcie planowałem z kumplami, nie w domu oczywiście.
- Wróćmy do tego momentu, w którym obudziłeś się w szpitalu – Banaś kontynuował politykę chaosu. – Co powiedziałeś lekarzowi?
- Przecież już mówiłem... – Wally potarł dłonią zmęczoną twarz. – Że nic nie pamiętam. Bo naprawdę nic nie pa-

miętałem w tamtej chwili – zamyślił się. – Dopiero rano miałem taki dziwny sen, że rodzice nie żyją, bo w domu był pożar.

– Sen, powiadasz?... Pożar?... – Witkowski spojrział znacząco na Banaś. – Opowiedz dokładnie, co ci się przyśniło.

– Jak się obudziłem, to już było tylko kilka obrazków. Jeden był taki najbardziej wyraźny – Cudny przymknął oczy. – Dom był oświetlony lampkami, panowała przejmująca cisza i nagle szyby eksplodowały ogniem, a dach aż podskoczył do góry. Potem wszystko zaczęło płonąć, nawet drzewa.

Banaś rzucił szybkim spojrzeniem w kierunku podkomisarza, zaś na głos powiedział:

– I to wszystko ci się przyśniło?

– Tak – potwierdził kolejny raz Wally.

– Poczekaj tu – Banaś kiwnął głową na Witkowskiego.

Policjanci wyszli na korytarz, starannie zamykając za sobą drzwi.

– Gówniarz podał zaskakująco szczegółowy opis pożaru jak na człowieka, który w tym czasie leżał na szpitalnym łóżku, nieprawdaż? – rzekł Banaś. – Chyba że jakimś cudem zwinął się stamtąd, pojechał do domu i...

– Wewnątrz było tyle gazu, że musiał się tam zbierać co najmniej kilka godzin – zauważył Witkowski.

– Fakt – przyznał. – Mógł ustawić piekarnik zaraz po zastrzeleniu rodziców, wpaść pod samochód, żeby sobie wyrobić alibi a później urwać się ze szpitala, aby popatrzeć na swoje dzieło. Wybuch był koło 4.00, zdążyłby wrócić przed pobudką.

– Sprawdź w szpitalu, czy był tam całą noc. Popytam też, czy ktoś zamawiał taryfę między przyjęciem chłopaka na oddział i 4.00, dla pewności 5.00.

– Nie, wyślij tam kogoś innego – polecił Banaś. – Jesteś mi potrzebny tutaj.

ROZDZIAŁ 5

Dyrektor Macer rozmawiał przez telefon dobry kwadrans. Skończywszy rozmowę, wybrał numer podany przez Sarę Bednarz. Andrzej Sokół, bo do niego dzwonił, odebrał za drugim razem. Dyrektor zaczął od powołania się na osobę, od której dostał namiary, potem krótko przedstawił temat. Na koniec spytał, czy Sokół mógłby w tej sprawie coś zrobić. Odpowiedź byłego dziennikarza Nowego Głosu Lubuskiego, znanego nie tylko w regionie, ale i w całym kraju, była uprzejma, aczkolwiek stanowczo odmowna. Nie pomogła nawet próba poruszenia struny sentymentalnej, Sokół był bowiem absolwentem zielonogórskiej budowlanki.

Ponieważ dyrektor spodziewał się takiego obrotu sprawy – uprzedzony przez Sarę Bednarz – wytoczył działa najcięższego kalibru: w imieniu kobiety przypomniał o długu względem niej, który dziennikarz miał do spłacenia.

*

– I jak? – pytanie padło z ust naczelnika wydziału dochodzeniowego.

– Jeszcze godzinę temu nic nie pamiętał z dnia wczorajszego – Banaś żuł gumę.

– Amnezja?

– Jakaś dziwnie wybiórcza – skwitował. – Teraz sobie przypomniał. Powieść by z tego można napisać – w kilku zdaniach streścił zeznania Cudnego.

– Pierdolisz? – naczelnik wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

– A wyglądam, jakbym dodał coś od siebie?

– Ma gówniarz wyobraźnię – w tonie głosu dało się wyczuć ślad fascynacji. – Coś ci przyniosłem – podał plik kartek.

– Wyniki analizy śladów powystrzałowych.

– Co napisali? – spytał Banaś.

– A ty, kurwa, czytać zapomniałeś?

- Czas goni, szefie.
- Ilości gazów śladowe, ale wzięwszy pod uwagę, że badanie było kilkanaście godzin po czasie, w normie.
- Znaczy się, strzelał.
- Strzelał – naczelnik poklepał Banasia po ramieniu.
- Przestańcie się z nim tak pierdolić. Do roboty!
- Tak jest – komisarz poczekał, aż naczelnik zniknie w drzwiach, po czym udał, że salutuje. Potem poszedł do pokoju przesłuchań, poczekał na powrót Witkowskiego, nic w tym czasie nie mówiąc do Cudnego. Kiedy podkomisarz się zjawił i szepnął: „Robota w toku”, Banaś położył na stole kartki z czcią tak nabożną, jakby to był rękopis cennego starodruku.
- Szczegóły techniczne mogłyby cię znudzić, tak więc ograniczymy się do puenty – Banaś stuknął wymownie palcami w kartki. – Badania potwierdziły, że w ciągu ostatnich kilkunastu godzin oddałeś strzał z broni palnej.
- I to jest niepodważalny dowód twojej winy – dodał Witkowski z satysfakcją.
- Przecież już panom mówiłem, że strzelałem do tego mordercy – rzekł Wally zmęczonym głosem.
- A my już mówiliśmy, żebyś zmienił płytę – podkomisarz splunął w kierunku śmietnika, chybając.
- Musisz wymyślić inną bajeczkę, bo ta się kupy nie trzyma, synku – dodał Banaś, a do podkomisarza powiedział: – Włącz klimę, bo tak tu śmierdzi, że aż mnie łeb zaczyna trzaskać.
- Nie mów do mnie synku, bo nie jestem twoim synem i za nic nie chciałbym być. Nikt by nie chciał – Cudny zimno to powiedział, lodowato. – Twój synowie pewnie wstydzą się tatusia do tego stopnia, że w szkole mówią, iż ojciec jest w długiej delegacji.
- Skąd wiesz, złamasie, że mam dwóch synów? – warknął Banaś. – Mów! Natychmiast!